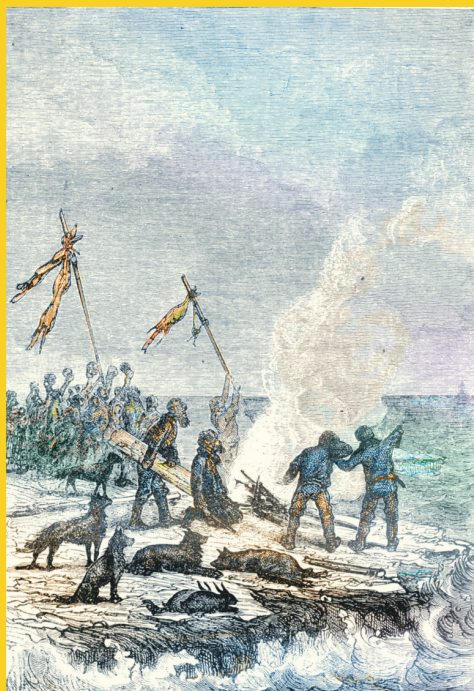




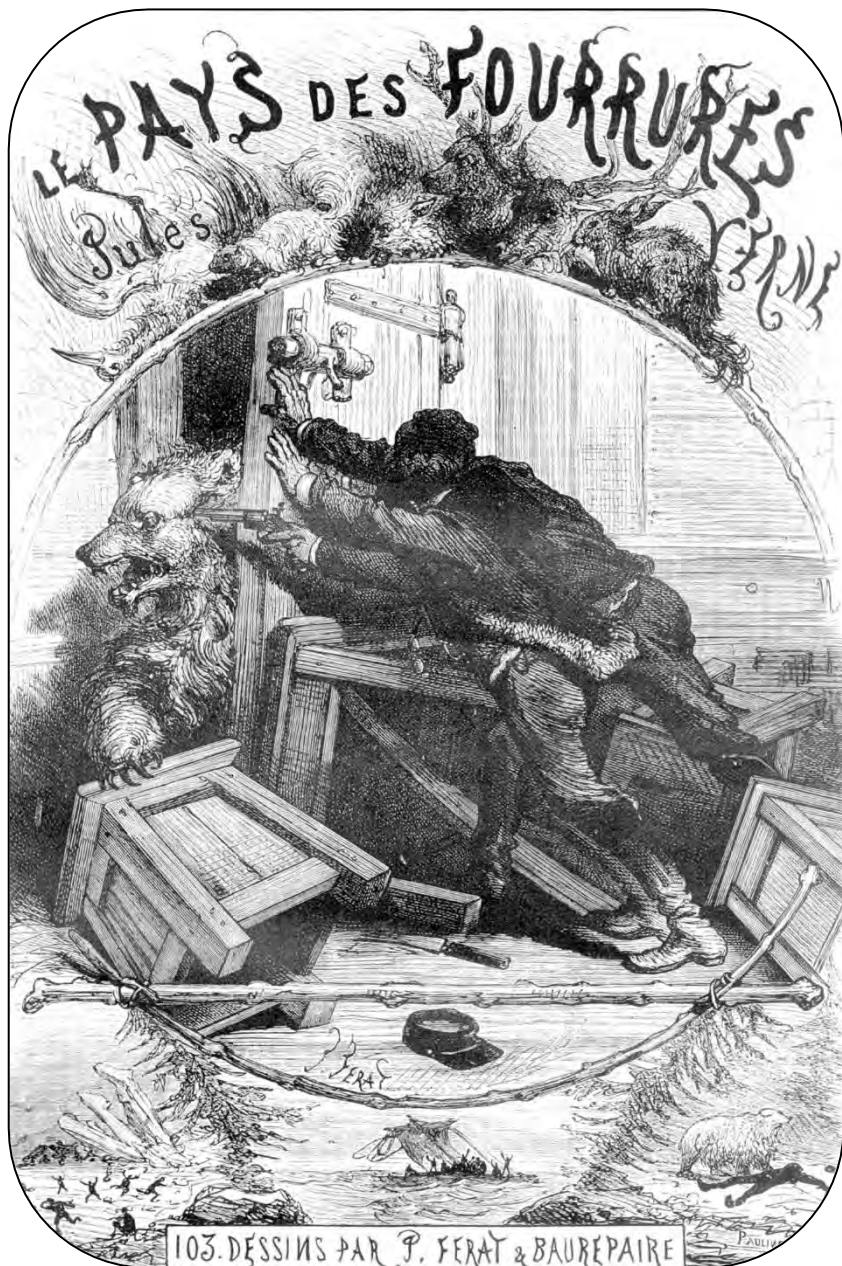
Juliusz Verne

Kraina futer (Część druga)



ISBN 978-83-67876-14-8 (całość)

ISBN 978-83-67876-24-7 (cz. 2)



Juliusz Verne

KRAINA FUTER

Juliusz Verne



KRAINA FUTER

Część 2

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

[Kup książkę](#)

**Sto trzydziesta piąta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Le Pays de fourrures

© Copyright for the Polish translation
by Janusz Pultyn, 2024

105 ilustracji, w tym 12 kart tablicowych kolorowych i dwie
mapki: Jules-Descartes Férat i Alfred Quesnay de Beaurepaire
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

ISBN 978-83-67876-14-8
ISBN 978-83-67876-24-7 (część 2)

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I

Płynący fort

Fort Nadzieja, zbudowany przez porucznika Jaspera Hobsona na obrzeżach Morza Polarnego, dryfował! Czy dzielny przedstawiciel Kompanii ponosił za to jakąkolwiek winę? Skądże. Nawet największa przezorność nie zdołałaby go uchronić przed takim biegiem wydarzeń. Porucznik sądził, że buduje na skale, a budował nawet nie na piasku¹! Tworzący Półwysep Wiktorii skrawek terenu, według najdokładniejszych map Ameryki angielskiej połączony z kontynentem amerykańskim, nagle się od niego oderwał. W istocie ów półwysep był bowiem jedynie ogromnym lodowcem o powierzchni stu pięćdziesięciu mil kwadratowych, a nakładające się na siebie osady nadały pozory kawałka stałego lądu, na którym nie brakowało ani roślinności, ani gleby. Po trwającym tysiące wieków przytwierdzeniu półwyspu do wybrzeża trzęsienie ziemi z ósmego stycznia na pewno sprawiło przerwanie łączących go więzi, tak iż stał się wyspą, lecz wyspą wędrowną, błakającą się, którą od trzech miesięcy prądy niosły po Oceanie Arktycznym!

Tak! To na lodowcu płynął tak Fort Nadzieja, a z nim jego mieszkańcy! Jasper Hobson pojął od razu, że w żaden inny sposób nie da się wytłumaczyć zmiany szerokości geograficznej. Przesmyk, to znaczy jęzor lądu łączący Półwysep Wiktorii z kontynentem, odłamał się na pewno wskutek podziemnych wstrząsów, do których kilka miesięcy wcześniej doprowadził wybuch wulkanu. Dopóki trwała zima borealna, dopóki ogromne mrozy utrzymywały zamrożoną powierzchnię morza, owo odłamanie nie przynosiło żadnej zmiany położenia geograficznego półwyspu. Wraz jednak z odwilżą, kiedy lody topniały pod wpływem promieni słonecznych, kiedy wycofująca się ławica przepadła poza horyzontem, kiedy morze nareszcie pozbyło się pokrywy, obszar ten, opierający się na lodowej podwalinie, pod wpływem jakiegoś nieznanego prądu dryfował teraz wraz ze swymi

¹ Nawiązanie do słów Jezusa przytoczonych w Ewangelii Mateusza (7,24) o ludziach roztropnych budujących dom na skale i nieroztropnych czyniących to na piasku.

lasami, klifami, przylądkiem, laguną wewnętrzną i wybrzeżem. Niesiony był w ten sposób od kilka miesięcy, a zimujący ludzie, którzy udając się na polowania, nie oddalali się zbyt od Fortu Nadzieja, nie byli w stanie tego zauważyć. Wobec braku jakichkolwiek punktów odniesienia, utrzymywania się gęstych mgieł ograniczających widoczność do kilku mil, wobec pozornej nieruchomości ziemi, nic nie mogło wskazać ani porucznikowi Hobsonowi, ani żadnemu z jego towarzyszy, że stali się wyspiarzami. Godne uwagi było jeszcze to, że półwysep, choć się przemieszczał, to nie zmieniał ustawienia wobec stron świata, bez wątpienia z powodu swoich rozmiarów i niezmiennego kierunku prądu, który go niósł. Na pewno zaś, gdyby przesunęły się widziane z przylądka Bathurst punkty kardynalne¹, gdyby wyspa obróciła się wokół własnej osi, gdyby słońce i księżyc wschodziły lub zachodziły w nowych miejscach horyzontu, Jasper Hobson, Thomas Black, Mrs Paulina Barnett czy ktokolwiek inny pojąłby, co nastąpiło. Jakiś czynnik powodował jednak, że przemieszczanie dokonywało się wzdłuż jednego z równoleżników kuli ziemskiej i pomimo jego szybkości nie było zupełnie odczuwalne.

Jasper Hobson nie wątpił, że jego towarzysze mają odwagę, zimną krew i silny charakter, ale mimo to nie chciał zapoznać ich z prawdą. Miał jeszcze czas i nową sytuację przedstawi im później, kiedy już dokładnie ją zbada. Na szczęście owi dzielni ludzie, zarówno żołnierze, jak i robotnicy, mało się znali na obserwacjach astronomicznych oraz na mierzeniu długości i szerokości geograficznej, a zmiany współrzędnych półwyspu, do których doszło w ostatnich miesiącach, nie mogły ich doprowadzić do wyciągnięcia wniosków budzących obawy, jakże uzasadnione u Jasпера Hobsona.

Podjąwszy decyzję, że zachowa milczenie tak długo, jak tylko zdoła, i będzie ukrywał sytuację kolonii, na którą nie mógł teraz nic poradzić, porucznik przywołał wszystkie swoje siły. Wyteżywszy ogromnie wolę, co nie umknęło uwagi Mrs Pauliny Barnett, odzyskał panowanie nad sobą i przystąpił, na ile tylko był w stanie, do pocieszania załamanego Thomasa Blacka, który lamentował i wrywał sobie włosy z głowy.

Astronom nie był bowiem w żadnej mierze świadom zjawiska, którego padł ofiarą. W przeciwieństwie do porucznika nie zauważył osobliwych

¹ *Punkty kardynalne* – w astronomii cztery punkty wyznaczające kierunki świata, dwa na przecięciu horyzontu z południkiem niebieskim (północny i południowy) i dwa na przecięciu horyzontu z kątem wierzchołkowym (wschodni i zachodni).



– Nie obawiajcie się, kapralu – odpowiedział z uśmiechem Jasper Hobson
– i uspokójcie też swoich dzielnych kolegów.

cech owej krainy, nie był w stanie niczego zrozumieć, a myślał wyłącznie o tym tak nieszczęśliwym dla niego fakcie: we wskazanym zawczasu dniu i godzinie Księżyc nie zaćmił całkowicie Słońca. Cóż mógł o tym sądzić? Jedyne to, że obserwatoria zhańbiły się, ogłaszając błędne efemerydy i że owo zaćmienie, jakże upragnione przez niego, Thomasa Blacka, dla obserwacji którego wybrał się tak daleko i zniósł tak wiele trudów, nie miało być nigdy „całkowite” w tej strefie sferoidy ziemskiej, którą wyznaczał siedemdziesiąty równoleżnik! Nie! Nigdy nie będzie w stanie przyjąć takiej możliwości! Nigdy! Dlatego właśnie jego rozczarowanie było wielkie i musiało takie być. Wkrótce jednak Thomas Black pojmie prawdę.

Na razie wszakże Jasper Hobson pozwalał wierzyć swoim towarzyszom, że brak zaćmienia był ciekawy wyłącznie dla astronoma, a ich nie dotyczył ani trochę, i polecił im wrócić do pracy, co też uczynili. W chwili jednak, gdy mieli już schodzić z wierzchołka przylądka Bathurst i wracać do faktorii, kapral Joliffe niespodziewanie zatrzymał się.

– Panie poruczniku – zapytał, podchodząc do dowódcy i salutując mu – czy mogę zadać jedno proste pytanie?

– A jakże, kapralu – odpowiedział Jasper Hobson, który nie wiedział, o co chciał spytać jego podwładny. – No, mówcie!

Kapral milczał jednak. Wahał się. Drobną żoną szturchnęła go łokciem.

– No, panie poruczniku – odezwał się kapral – chodzi o ten siedemdziesiąty stopień szerokości geograficznej. Jeśli dobrze zrozumiałem, to nie jesteście tam, gdzie pan porucznik uważał, że jesteście...

Jasper Hobson zmarszczył brwi.

– Rzeczywiście... – przyznał niechętnie – popełniliśmy błąd w obliczeniach i nasza pierwsza obserwacja była błędna. Ale dlaczego... czemu się tym przejmujecie?

– Chodzi o żołd, panie poruczniku – wyjaśnił kapral, przybierając wyraz twarzy człowieka bardzo przebiegłego. – No wie pan, o obiecany przez Kompanię podwójny żołd...

Jasper Hobson odetchnął z ulgą. Jak pamiętamy, jego ludzie mieli oczywiście prawo do wyższego żołdu, jeśli zdołają zamieszkać na siedemdziesiątym równoleżniku lub poza nim. Zawsze myślący tylko o zyskach kapral Joliffe i teraz troszczył się wyłącznie o pieniądze i poczuł obawę, że nie zasłużyli jeszcze na obiecaną premię.

– Nie obawiajcie się, kapralu – odpowiedział z uśmiechem Jasper Hobson – i uspokójcie też swoich dzielnych kolegów. Macie szczęście,



Wygrażał pięścią słońcu! Wpatrywał się w jego oblicze,
narażając się na wypalenie oczu.

że nasz błąd, którego naprawdę nie potrafimy wyjaśnić, w niczym wam nie zaszkodzi. Jesteśmy nie poniżej, lecz powyżej siedemdziesiątego równoleżnika, a zatem będziecie dostawali podwójny żołd.

– Dziękuję, panie poruczniku. – Twarz kaprała się rozpromieniła. – Dziękuję. Rzecz nie w tym, że pieniądze są dla nas wszystkim, ale w tym, że za przeklęte pieniądze ma się wszystko.

Po tej uwadze kapral Joliffe i jego koledzy odeszli, ani trochę nie podejrzewając, że w charakterze i położeniu tego terenu zaszła przerażająca i dziwna zmiana.

Również sierżant Long miał już wrócić do faktorii, kiedy Jasper Hobson zatrzymał go, mówiąc:

– Zostańcie, sierżancie Long.

Podoficer wykonał w tył zwrot i czekał, aż porucznik coś powie.

Jedynymi osobami pozostałymi na wierzchołku przylądka byli teraz Mrs Paulina Barnett, Madge, Thomas Black, porucznik i sierżant.

Odkąd nastąpiło zaćmienie, podróżniczka nie wypowiedziała ani słowa. Nie spuszczała z Jaspera Hobsona pytającego wzroku, którego ten zdawał się unikać. Twarz dzielnej kobiety wyrażała bardziej zaskoczenie aniżeli zmartwienie. Czy pojęła prawdę? Czy tak jak porucznik Hobson doznała nagłego olśnienia? Czy poznawszy ich położenie, jej praktyczny umysł wyciągnął z niego wnioski? W każdym razie milczała i opierała się o Madge, która obejmowała ją w pasie.

Natomiast astronom nie potrafił ustać w miejscu, oddalał się od grupki i powracał. Włosy miał najeżone. Machał rękoma. Uderzał się dłońmi i je opuszczał. Stale wyrывały mu się okrzyki rozpacz. Wygrażał pięścią słońcu! Wpatrywał się w jego oblicze, narażając się na wypalenie oczu!

Po kilku minutach jego wewnętrzne rozgorączkowanie wreszcie osłabło. Poczuł, że jest już w stanie mówić, i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, płonącymi w furii oczami, gniewną twarzą i zmarszczonymi brwiami podszedł do porucznika Hobsona i stanął tuż przed nim.

– Zmierzmy się! – zawołał. – Zmierzmy, panie przedstawicielu Kompanii Zatoki Hudsona!

Te słowa, ten ton, ta poza razem bardzo przypominały wyzwanie. Jasper Hobson nie chciał go przyjąć i poprzestał na przyjrzeniu się nieszczęśnikowi, którego ogromne rozczarowanie dobrze pojmował.

– Panie Hobson – powiedział Thomas Black gniewnym tonem, którego nie potrafił powściągnąć – czy byłby pan łaskaw powiadomić mnie, co się

stało? Czy dopuścił się pan mistyfikacji? Gdyby tak było, poruczniku, jej ofiarą padliby stojący wyżej ode mnie, wiedz pan, i może spotkać pana za nią kara!

– Co chce pan przez to powiedzieć, panie Black? – zapytał cicho Hobson.

– Chcę powiedzieć – odparł astronom – że polecono panu doprowadzić swój oddział do siedemdziesiątego stopnia szerokości geograficznej...

– Lub poza nią – dodał Jasper Hobson.

– Poza nią, poruczniku! – zawołał Thomas Black. – A co miałbym robić poza nią? W celu dokonania obserwacji całkowitego zaćmienia słońca nie mogłem wykroczyć poza linię kolistego cienia, którą w tej części Ameryki angielskiej wyznacza siedemdziesiąty równoleżnik, a oto znajdujemy się trzy stopnie ponad nim!

– No cóż, panie Black – odpowiedział Jasper Hobson najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć – popełniliśmy błąd, to wszystko.

– To wszystko! – wybuchnął astronom, rozjuszony spokojem porucznika.

– Chciałbym ponadto zauważyć – mówił dalej Jasper Hobson – że jeśli dopuściłem się błędu, to pan również, kiedy bowiem przybyliśmy na przylądek Bathurst, wówczas obaj wyznaczaliśmy jego szerokość geograficzną, pan swoimi przyrządami, a ja moimi. Dlatego nie może pan czynić mnie odpowiedzialnym za pomyłkę w obserwacji, którą pan także popełnił!

Odpowiedź ta całkowicie rozbroiła Thomasa Blacka, który nadal mocno rozzłoszczony nie wiedział, co ma na nią rzec. Nic go nie usprawiedliwiało! Jeśli doszło do błędu, to on też go popełnił. Co zaś w światku europejskich uczonych, w Obserwatorium Greenwich, pomyślał o astronomie tak bardzo nieudolnym, że pomylił się przy określaniu szerokości geograficznej? Błąd Thomasa Blacka popełniony podczas pomiaru wysokości Słońca miałby wynieść aż trzy stopnie? Na dodatek pomiaru dokonanego wówczas, kiedy od ścisłego ustalenia równoleżnika zależne było przeprowadzenia przezeń obserwacji całkowitego zaćmienia w warunkach, jakie mogły się powtórzyć dopiero po długim czasie! Thomas Black byłby naukowcem skompromitowanym!

– Jak jednak – zawołał, ponownie wrywając sobie włosy z głowy – jak mogłem się pomylić tak bardzo? Czyżbym nie potrafił już posługiwać się sekstantem?! Nie umiałbym dokonać obliczeń kąta?! A zatem ośle-

płem! I jeśli tak jest rzeczywiście, mogę jedynie rzucić się z tego przyłądka głową w dół...!

– Panie Black – powiedział wtedy poważnym głosem Jasper Hobson – niech pan nie oskarża siebie, gdyż podczas obserwacji nie dopuścił się pan żadnego błędu i nie ma pan sobie nic do zarzucenia!

– Czyli to pan...

– Mam sobie do zarzucenia równie mało co pan. Proszę pana, by mnie wysłuchał. Panią też – dodał, odwracając się do pani Pauliny Barnett – a również was, Madge, i sierżancie Long. Wymagam tylko jednego, utrzymania w najpełniejszej tajemnicy wy tłumaczenia, które teraz przekażę. Musimy unikać wzbudzenia lęku u naszych towarzyszy i być może utraty przez nich nadziei.

Mrs Paulina Barnett, jej towarzyszka, sierżant i Thomas Black podeszli do porucznika. Nic nie powiedzieli, ale wszyscy milczeniem zobowiązali się jakby do zachowywania tylko dla siebie tajemnicy, która zostanie im zdradzona.

– Moi drodzy – powiedział Jasper Hobson – kiedy przed rokiem przybyliśmy do tego zakątka Ameryki angielskiej i ustaliliśmy położenie przyłądka Bathurst, znajdował się on dokładnie na siedemdziesiątym równoleżniku, a powodem, dla którego jest teraz powyżej siedemdziesiątego trzeciego stopnia szerokości geograficznej, to znaczy trzy stopnie dalej na północ, jest jego zdryfowanie.

– Zdryfowanie! – zawołał Thomas Black. – Coś takiego może pan wmawiać innym! Odkąd to przyładek potrafi dryfować?

– A jednak ten potrafi, panie Black – odpowiedział z pełną powagą porucznik Hobson. – Cały Półwysep Wiktorii jest jedynie wyspą z lodu. Trzęsienie ziemi oderwało ją od wybrzeża Ameryki, a teraz jest unoszona przez jeden z wielkich prądów arktycznych...!

– Dokąd? – zapytał sierżant Long.

– Tam, dokąd spodoba się Bogu! – odpowiedział Jasper Hobson.

Towarzysze porucznika nic nie mówili. Mimowolnie skierowali spojrzenia na południe, poza rozległe równiny, w stronę przełamanego przesmyku, ale z miejsca, w którym się znajdowali, nie byli w stanie dojrzeć biegnącego morzem horyzontu, otaczającego ich teraz zewsząd. Gdyby przyładek Bathurst miał wysokość kilkuset stóp powyżej poziomu oceanu, cały obwód ich włości ukazałby się wyraźnie ich oczom i ujrzeliby, że przekształciły się w wyspę.

Z ogromnym przejściem i ściśniętym sercem myśleli o Forcie Nadzieja i jego mieszkańcach, oddalanych od wszystkich lądów i będących teraz igraszką wiatrów i fal.

– Czyli, panie poruczniku – zapytała Mrs Paulina Barnett – tłumaczy to wszystkie zauważone przez pana na tym terenie osobliwości, których nie dawało się wyjaśnić?

– Tak, szanowna pani – potwierdził porucznik. – Teraz wszystko można wyjaśnić. Półwysep Wiktorii, obecnie wyspa, który braliśmy, bo nie mogliśmy inaczej, za nierozzerwalnie spoczywający na swoich podwalinach, jest po prostu ogromnym lodowcem, od stuleci spojenym z kontynentem amerykańskim. Wiatr powoli przysypywał go piaskiem i glebą, zasiewał na nim nasiona, z których wyrosły lasy i mchy. Z chmur spadała słodka woda zasilająca lagunę i rzeczkę. Roślinność przemieniła lodowiec! Lecz pod tym jeziorem, pod tą glebą, pod tym piaskiem, w końcu zaś pod naszymi stopami, znajduje się podłoże z lodu, które dzięki swojemu ciężarowi własnemu unosi się na morzu. Tak, niesie nas i unosi lodowiec! Dlatego właśnie, odkąd tu zamieszkaliśmy, nie znaleźliśmy na powierzchni przylądka ani jednego głazu, ani jednego kamienia! Oto dlaczego jego brzegi wznosiły się pionowo; oto dlaczego, kiedy kopaliśmy pułapkę na renifery, dziesięć stóp pod ziemią pojawił się lód; wreszcie oto dlaczego na tym wybrzeżu nie dawało się wykrywać pływów, ponieważ podczas przypływów i odpływów cały półwysep podnosił się i opadał wraz z powierzchnią wody!

– To rzeczywiście wszystko tłumaczy, panie poruczniku – przyznała Mrs Paulina Barnett – a pańskie przecucia okazały się trafne. Chciałabym mimo to zapytać pana o te pływy. Dlaczego teraz są zerowe, a niewielkie dawały się dostrzegać po naszym przybyciu na przylądek Bathurst?

– Dlatego, szanowna pani – wyjaśnił porucznik Hobson – że kiedy przybyliśmy tutaj, ruchomy przesmyk nadal łączył półwysep z kontynentem amerykańskim. Sprawiało to, że opierał się trochę działaniu pływów, a na jego północnym wybrzeżu poziom wody zmieniał się o mniej więcej dwie stopy, a nie o dwadzieścia, jak powinno być podczas najniższej jego wartości. Dlatego od chwili przełamania przesmyku wskutek trzęsienia ziemi, odkąd całkowicie uwolniony półwysep mógł podczas przypływów i odpływów unosić się i opadać, pływy stały się całkowicie zerowe, co właśnie kilka dni temu, kiedy był nów księżyca, wspólnie ustaliliśmy!

Thomas Black, pomimo swojej w pełni zrozumiałej rozpacz, z ogromnym zainteresowaniem słuchał wyjaśnień Jaspера Hobsona. Przedstawiane przez porucznika wnioski musiał uznać za absolutnie słuszne, ale przepełniony gniewem na owo zjawisko, jakże rzadkie, jakże nieoczekiwane, jakże „absurdalne” – tak je określał – które nastąpiło akurat wtedy, kiedy miał dokonywać obserwacji zaćmienia, nie odzywał się ani słowem, stojąc z ponurą i można by rzec, zawstydzoną miną.

– Biedny pan Black! – powiedziała wtedy Mrs Paulina Barnett. – Należy przyznać, że odkąd tylko istnieje świat, podobne nieszczęście nie spotkało żadnego astronoma!

– W każdym razie, szanowna pani – odparł Jasper Hobson – nie ma w tym ani trochę naszej winy! Nie można oskarżać ani pani, ani mnie. Wszystkiego dokonała przyroda i tylko ona jest winna! Trzęsienie ziemi przerwało więzy łączące półwysep z kontynentem i teraz naprawdę jesteśmy niesieni na pływającej wyspie. Wyjaśnia to również, dlaczego wokół fortu występują tak licznie zwierzęta futerkowe i inne, ponieważ także one są więźniami na tym terenie!

– I dlaczego – dodała Madge – od cieplej pory roku nie doszło do odwiedzin konkurentów, których obecność budziła takie pańskie obawy, panie poruczniku!

– I dlaczego – zauważył sierżant – oddział, który wysłał kapitan Craveny, nie zdołał dotrzeć do przylądka Bathurst!

– I dlaczego wreszcie – stwierdziła Mrs Paulina Barnett, patrząca na porucznika – muszę wyrzec się wszelkiej nadziei, że wrócę do Europy, w każdym razie w tym roku!

Tę ostatnią uwagę podróżniczka wygłosiła tonem dowodzącym, że pogodzenie się z losem przyjęła z dużo większym spokojem, niż można byłoby sądzić. Sprawiała wrażenie, jakby nagle dostrzegła dobre strony ich dziwnego położenia, stwarzającego niewątpliwie okazję do wielu ciekawych spostrzeżeń. A zresztą, czy popadnięcie przez nią w rozpacz, czy skargi i utyskiwania wszystkich jej towarzyszy, mogłyby zapobiec temu, co się stało? Czy mogłyby zatrzymać dryfowanie błakającej się wyspy? Czy mogłyby doprowadzić jakimś manewrem do przyłączenia jej do kontynentu? Nie. Tylko Bóg wyznaczał przyszłe losy Fortu Nadzieja. Pozostawało więc tylko poddanie się Jego woli.



Rozdział II

Położenie wyspy

Nową i nieprzewidzianą sytuację, jaka spadła na przedstawicieli Kompanii, należało zbadać z najwyższą starannością, co też Jasper Hobson chciał uczynić jak najszybciej, mając przed oczyma mapę. Z rozpoznaniem długości geograficznej Wyspy Wiktorii – zachował tę nazwę – musiał jednak poczekać do następnego dnia, tak samo jak i szerokości geograficznej. Aby dokonać tych obliczeń, należało zmierzyć wartość dwóch wysokości Słońca, przed i po południu, oraz określić dwa kąty godzinne.

O drugiej w nocy porucznik Hobson i Thomas Black ustalili sekstansem wysokość Słońca nad horyzontem. Liczyli na to, że następnego dnia około dziesiątej rano powtórzą ten sam pomiar, aby na podstawie dwóch wysokości obliczyć długość geograficzną miejsca na Oceanie Polarnym, w którym wówczas znajdowała się wyspa.

Powrót do fortu nie nastąpił jednak natychmiast, a Jasper Hobson, astronom, sierżant, Mrs Paulina Barnett i Madge jeszcze dość długo z sobą rozmawiali. Ta ostatnia ani trochę nie myślała o sobie, poddając się całkowicie woli Opatrzności. Pomimo to, patrząc na swoją panią, swoją „córkę Paulinę”, nie była w stanie wyzbyć się emocji, kiedy myślała o wyzwaniach i nawet katastrofach, które być może czekały na nią w przyszłości. Madge była gotowa oddać życie za podróżniczkę, ale czy przez taką ofiarę będzie w stanie ocalić istotę, którą kochała mocniej aniżeli wszystko inne na świecie? Znała wszakże Mrs Paulinę Barnett i wiedziała, że nie była ona kobietą, która kiedykolwiek się załamuje. Ta dzielna dusza już teraz nie wpadała w przerażenie, rozmyślając o przyszłości, która, co należy przyznać, nie dawała jeszcze żadnych powodów, by patrzeć na nią z rozpaczą.

Bo też mieszkańcom Fortu Nadzieja nie groziła wówczas zagładą, a nawet wszystko czyniło zasadnymi nadzieje na uniknięcie ostatecznej katastrofy. Jasper Hobson przekonująco wyjaśnił to swoim rozmówcom.

Na znajdującą się daleko od wybrzeży kontynentu amerykańskiego pływającą wyspę czyhały bowiem tylko dwa zagrożenia.

Pierwsze, że prądy otwartego Morza Polarnego porwą ją na tak wysokie szerokości geograficzne, z których nigdy już nie powróci.

Drugie, że prądy morskie zanoszą ją na południe, może nawet przez Cieśninę Beringa i na Ocean Spokojny.

W pierwszym przypadku zimuujący ludzie zostaną schwytani przez lód, odcięci od swoich bliznich niemożliwą do pokonania ławicą lodową, aż w końcu zginą gdzieś na hiperborejskich pustkowiach wskutek zimna lub głodu.

W drugim zabrana przez prądy na cieplejsze wody Pacyfiku Wyspa Wiktorii będzie topniała, począwszy od podstawy, i zatonie pod nogami jej mieszkańców.

Skutkiem obu tych hipotez będzie nieunikniona śmierć porucznika Jaspера Hobsona i wszystkich jego towarzyszy oraz zagłada wzniesionej za cenę tak wielu trudów faktorii.

Ale czy spełni się któryś z tych dwóch przypadków? Wątpliwe. Było to nieprawdopodobne.

Pora letnia była przecież bliska zakończenia. Przed upływem następnych trzech miesięcy nadciągające od bieguna chłody zestalą morze. Całą jego powierzchnię pokryje pole lodowe i sanie umożliwią dotarcie do najbliższego lądu, czy to Ameryki rosyjskiej, gdyby wyspa pozostała na wschodzie oceanu, czy to wybrzeży Azji, gdyby podążyła w kierunku przeciwnym, na zachód.

– Ponieważ – dodał Jasper Hobson – ani trochę nie panujemy nad naszą pływającą wyspą. Nie mamy żagla, który można by podnieść na niej jak na statku, a zatem nie możemy nią kierować. Będziemy w miejscach, do których nas zaprowadzi.

Bardzo jasną i przekonującą argumentację porucznika Hobsona pozostali przyjęli bez zastrzeżeń. Było pewne, że wielkie mrozy zimy spoją Wyspę Wiktorii z ogromnym polem lodowym, i wydawało się bardzo prawdopodobne, że nie zdryfuje ona zbyt daleko ani na północ, ani na południe. Konieczność zaś przebycia kilkuset mil na powierzchni pola lodowego nie powstrzyma tych odważnych i zdecydowanych ludzi nawykłych do klimatu polarnego i długich wypraw przez obszary arktyczne. Co prawda oznaczało to pozostawienie za sobą Fortu Nadzieja, o który tak się troszczyli, a także utratę plonów ich ciężkiej i zakończonej powodzeniem pracy, ale co innego będą mogli zrobić? Założona na ruchomej ziemi fakto-

ria nie będzie mogła przecież dłużej przynosić korzyści Kompanii Zatoki Hudsona. I tak zresztą po stopnieniu się wyspy prędzej czy później zapałaby się ona w otchłaniach oceanu. Zajdzie zatem konieczność opuszczenia jej, kiedy tylko wystąpią pozwalające na to warunki.

W jedynym niepomysłnym przypadku, co porucznik podkreślał wyjątkowo mocno, przez pozostałe do zamarznięcia Morza Arktycznego osiem lub dziewięć tygodni Wyspa Wiktorii zostanie zawleczona zbyt daleko na północ lub zbyt daleko na południe. W sprawozdaniach z zimowania można rzeczywiście natrafić na przykłady dryfowania na bardzo wielkich odległościach, bez możliwości jego powstrzymywania.

Wszystko zależało więc od nieznanych prądów powstających po otwarciu się Cieśniny Beringa, dlatego bardzo ważne było dokładne nanieśienie ich kierunków na mapie Oceanu Arktycznego. Jasper Hobson miał jedną taką mapę i poprosił Mrs Paulinę Barnett, Madge, astronoma i sierżanta, by udali się z nim do jego pokoju. Przed opuszczeniem wszakże wierzchołka przylądka Bathurst jeszcze raz zalecił im, aby obecną sytuację kolonii zachowywali w pełnej tajemnicy.

– Sytuacja nie jest rozpaczliwa, ani odrobinę – dodał – dlatego nie uważam za właściwe zaprzatanie obawami umysłów naszych towarzyszy, którzy być może nie zdołają równie beznamiętnie jak my rozważać szans na wyjście z niej.

– Czy jednak – zapytała Mrs Paulina Barnett – nie postąpilibyśmy przezornie, budując teraz łódź dostatecznie dużą, aby pomieścić nas wszystkich, i na której bylibyśmy w stanie przepłynąć morzem odległość kilkuset mil?

– Rzeczywiście postąpilibyśmy przezornie – odpowiedział porucznik Hobson – i tak uczynimy. Wymyślę jakiś pretekst, abyśmy mogli bez zwłoki przystąpić do pracy i wydám mistrzowi ciesielskiemu rozkazy zabrania się do budowy mocnej łodzi. Uważam jednak, że do tego sposobu powrotu na ląd powinniśmy się uciec tylko w ostateczności. Najważniejsze jest, abyśmy nie przebywali dłużej na wyspie, kiedy lody zaczną pękać. Dlatego musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby dotrzeć na ląd pieszo, dopóki zima będzie trzymała ocean w uwięzi.

Taki sposób postępowania był w istocie najlepszy. Zbudowanie łodzi o nośności trzydziestu lub trzydziestu pięciu ton musiałoby zająć co najmniej trzy miesiące, a po ich upływie nie będzie możliwości jej użycia,

gdyż morze przestanie być wolne do żeglugi. Jeżeli jednak porucznik zdoła wtedy wrócić z małą kolonią na kontynent, prowadząc ją tam przez pole lodowe, zdoła z powodzeniem wydobyć się z trudnej sytuacji, ponieważ zaokrętowanie wszystkich w czasie odwilży będzie dużo bardziej niebezpieczne. Jasper Hobson miał zatem słuszość, uważając zamiar zbudowania statku za ostateczną konieczność, a wszyscy byli tego samego zdania co on.

Porucznik Hobson, który mógł najlepiej osądzić, co w tej sprawie należało czynić, otrzymał raz jeszcze obietnicę zachowania tajemnicy. Następnie, po upływie kilka minut, dwie kobiety i trzech mężczyźni opuścili przylądek Bathurst, aby usiąść w dużej izbie Fortu Nadzieja, pustego wówczas, ponieważ wszyscy zajmowali się pracami na zewnątrz.

Porucznik przyniósł doskonałą mapę prądów powietrznych i oceanicznych, a następnie przyjrzał się uważnie części Morza Lodowatego znajdującej się między przylądkiem Bathurst a Cieśniną Beringa.

Groźne wody zawarte między kołem podbiegunowym a mało znaną strefą, od czasu śmiałego odkrycia McClure'a zwaną „Prześciem Północno-Zachodnim”, przecinają dwa główne prądy¹, a przynajmniej badania hydrograficzne nie wskazują na istnienie żadnych innych.

Pierwszy nosi nazwę Prądu Kameczackiego². Rodzi się przy półwyspie, od którego zyskał miano, a następnie płynie wzdłuż wybrzeża azjatyckiego i przecina Cieśninę Beringa, muskając Przylądek Wschodni³, wysunięty kraniec kraju Czukczów⁴. Swoją drogę, biegnący głównie z południa na północ, zmienia nagle około sześciuset mil za wspomnianą cieśniną i skręca ostro na wschód, płynąc mniej więcej równolegle do przejścia McClure'a, czym niewątpliwie przyczynia się do tego, że przez kilka miesięcy cieplej pory roku jest ono żeglowne.

¹ Obecnie w opisaney części Oceanu Arktycznego znany jest jeden prąd, Wir Morza Beauforta, część okrężnego Prądu Transarktycznego, płynący wzdłuż północnych wybrzeży Alaski w kierunku zachodnim.

² *Prąd Kameczacki* (obecna nazwa Prądem Oja Siwo) – zimny prąd o kierunku odwrotnym od opisanego przez J. Verne'a, zaczyna się na Oceanie Arktycznym, płynie na południe przez Cieśninę Beringa, wzdłuż Kameczatki i Kuryli do Wysp Japońskich, gdzie łączy się z prądem Kuro Siwo.

³ *Przylądek Wschodni* – dawna nazwa Przylądka Dieżniowa, najdalej na wschód leżącego punktu Azji, na wschodnim krańcu Półwyspu Czukockiego, w najwęższym miejscu Cieśniny Beringa.

⁴ *Kraj Czukczów* – Półwysep Czukocki, w północno-wschodniej Syberii, między Morzami Czukockim i Beringa, nazwa od zamieszkującego go ludu Czukczów.

Kierunek drugiego prądu, zwanego Prądem Beringa¹, jest przeciwny. Początkowo płynie on wzdłuż wybrzeża amerykańskiego ze wschodu na zachód w odległości od niego nieprzekraczającej stu mil, a u wlotu cieśniny zderza się, można by rzec, z Prądem Kamczackim. Potem zaś skręca na południe i zbliża się do wybrzeży Ameryki rosyjskiej, by po przebyciu Morza Beringa rozbić się w końcu na rodzaju zakrzywionej grobli, jaką tworzą Aleuty.

Mapa porucznika zawierała bardzo dokładne wyniki najnowszych badań mórz i oceanów. Dlatego można było na niej polegać.

Przed zabraniem głosu Jasper Hobson dokładnie ją obejrzał. Potem otarł dłonią czoło, jakby przepędzał jakieś złe przeczucie, i powiedział:

– Nie traćmy nadziei, że pomimo przeciwności losu nie trafimy w te odległe strony. Naszej wędrownej wyspie groziłaby niemożność ich opuszczenia.

– A to dlaczego, panie poruczniku? – zapytała od razu Mrs Barnett.

– Dlaczego, szanowna pani? – odpowiedział porucznik. – Proszę przyjrzeć się uważnie tej części Oceanu Arktycznego, a sama łatwo to pani dostrzeże. Płyną tam w przeciwnych kierunkach dwa prądy i oba nam zagrażają. W miejscu ich spotkania wyspa musiałaby pozostawać bez ruchu, i to w wielkim oddaleniu od jakiegokolwiek lądu. Tam właśnie spędzilibyśmy złą porę roku, a po nadejściu odwilży albo porwana Prądem Kamczackim trafiłaby do zagubionych w oddali krain na północnym zachodzie, albo, gdyby przeważały wpływy Prądu Beringa, zatonąłaby w otchłaniach Pacyfiku.

– Tak się nie stanie, panie poruczniku – zapewniła Madge tonem wyrażającym szczerą wiarę. – Bóg na to nie pozwoli.

– Nie potrafię się jednak domyślić się – mówiła dalej Mrs Paulina Barnett – w jakiej części Morza Polarnego unosimy się teraz, ponieważ przy brzegach przylądka Bathurst dostrzegam jedynie niebezpieczny Prąd Kamczacki, płynący prosto na północny zachód². Czy nie są zasadne obawy, że

¹ *Prąd Beringa* – inna nazwa ciepłego prądu Alaski; północne odgałęzienie Prądu Północnopacyficznego, płynie w kierunku północnym wzdłuż wybrzeża Ameryki Północnej, dalej na zachód przez zatokę Alaski i Cieśninę Beringa przedostaje się do Oceanu Arktycznego.

² Powinno być północny wschód, gdyż w tym kierunku od przylądka Bathurst leży Georgia Północna.

zostaliśmy porwani jego nurtem i zmierzamy w stronę ziem Georgii Północnej?

– Nie sędzę – odpowiedział po chwili namysłu Jasper Hobson.

– Dlaczego miałoby tak nie być?

– Dlatego, szanowna pani, że ów prąd jest szybki, i gdyby nas niosł, to po trzech miesiącach w zasięgu naszego wzroku pojawiłoby się już jakieś wybrzeże, a żadnego nie widać.

– Gdzie pańskim zdaniem byśmy się wtedy znajdowali? – zapytała podróżniczka.

– Bez żadnych wątpliwości gdzieś między Prądem Kamczackim a wybrzeżem – odparł Jasper Hobson. – Przypuszczalnie w obrębie ogromnego wiru, który musi tam występować.

– To wykluczone, panie poruczniku – sprzeciwiła się żywo Mrs Paulina Barnett.

– Wykluczone? – powtórzył Jasper Hobson. – A z jakiej przyczyny, proszę pani?

– Z tej, że Wyspa Wiktorii, pochwycona przez wir, musiałaby na pewno brać udział w jakimś ruchu obrotowym, a zatem nie posuwałaby się w żadnym stałym kierunku. A ponieważ od trzech miesięcy nie zmieniło się jej położenie względem stron świata, to tak nie jest.

– Ma pani rację – przyznał Jasper Hobson. – Pani znajomość tych spraw jest znakomita i nie znajduję żadnej odpowiedzi na ten zauważony fakt, może poza istnieniem jakiegoś nieznanego prądu, którego nie naniesiono jeszcze na tej mapie. Ten brak pewności jest naprawdę straszny. Nie mogę się już doczekać jutra, aby poznać dokładne położenie wyspy.

– Jutro nastąpi – powiedziała Madge.

Pozostało im więc jedynie czekać. Wszyscy się rozeszli i powrócili do swoich zwykłych zajęć. Sierżant Long powiadomił żołnierzy, że nie dojdzie do zaplanowanego na następny dzień wyruszenia do Fort Reliance. Jako przyczyny podjętej po rozważeniu wszystkich za i przeciw decyzji podał, że jest już zbyt późna pora roku, aby móc dotrzeć do tamtej faktorii przed nadejściem wielkich mrozów, że astronom postanowił zimować po raz drugi, dzięki czemu dokończy swoje obserwacje meteorologiczne, że nie jest konieczne uzupełnienie w Fortcie Nadzieja zapasów żywności oraz jeszcze inne, które mało obchodziły tych znacznych ludzi.

Porucznik Hobson wydał myśliwym stanowcze polecenie, by oszczędzać odtąd zwierzęta futerkowe, które były dla nich całkowicie bezu-



– Nie sędzę – odpowiedział po chwili namysłu Jasper Hobson.

żyteczne, a polować wyłącznie na te dające mięso, w celu odnawiania w faktorii zapasów żywności. Ponadto zakazał im oddalania się od fortu na więcej niż dwie mile, nie chciał bowiem, by Marbre, Sabine czy inni myśliwi w miejscu, gdzie przed kilkoma jeszcze miesiącami znajdował się przesmyk łączący Półwysep Wiktorii z kontynentem amerykańskim, niespodzianie ujrzeni przed sobą horyzont morski. Takie przepadnięcie wąskiego pasma lądu oznaczałoby przecież zdradzenie położenia, w jakim znajdowali się mieszkańcy faktorii.

Dzień ten ciągnął się porucznikowi Hobsonowi w nieskończoność. Kilka razy powracał na wierzchołek przylądka Bathurst, sam lub w towarzystwie Mrs Pauliny Barnett. Podróżniczka o duszy pełnej sił i hartu nie żywiła żadnych obaw. Przyszłości nie postrzegała jako groźnej. W żartach powiedziała nawet Jasperowi Hobsonowi, że niosąca ich wędrowna wyspa okaże się być może prawdziwym pojazdem pozwalającym im dotrzeć do bieguna północnego! Jeżeli prąd będzie temu sprzyjał, dlaczego nie mieliby osiągnąć tego niedostępnego dotychczas punktu kuli ziemskiej?

Porucznik Hobson kręcił głową, kiedy przedstawiała mu tę myśl, ale jednocześnie nie odrywał oczu od horyzontu i wypatrywał, czy w oddali nie pojawi się jakaś ziemia, znana bądź nieznana. Na biegnącej dookoła linii niebo nierozzerwalnie zlewało się jednak z wodą, a jej czystości nie zakłócała żadna przerwa, co wzmacniało przekonanie Jaspера Hobsona, że Wyspa Wiktorii dryfuje najpewniej na zachód, a nie w jakąkolwiek inną stronę.

– Panie poruczniku – zapytała Mrs Paulina Barnett – czy ma pan zamiar dokonać jak najszybciej obejścia naszej wyspy dookoła?

– W istocie mam, szanowna pani – odpowiedział porucznik Hobson. – Gdy poznam jej położenie, pragnę ustalić, jaki ma kształt i rozmiary. Taka wiedza jest niezbędna, aby móc w przyszłości określać zakres wszelkich zachodzących zmian. Wszystko wskazuje na to, że do oderwania się wyspy od lądu doszło w miejscu przesmyku, a zatem przemienił się w nią cały półwysep.

– Dziwny los wyznaczono nam w górze, panie poruczniku! – stwierdziła Mrs Paulina Barnett. – Inni podróżnicy po powrocie ze swoich wypraw dodają do zasobu wiedzy geograficznej jakieś nowe ziemie! My zaś wprost przeciwnie, zubażamy go poprzez wymazanie z mapy rzekomego Półwyspu Wiktorii!



Niby wielkie dziecko, jak które zresztą się zachowywał,
kiedy nie prowadził pracy naukowej, dąsał się zamknięty w swoim pokoju.

Następnego dnia, dziewiętnastego lipca, o dziesiątej rano Jasper Hobson zmierzył wysokość słońca widocznego na bezchmurnym niebie. Następnie wynik tego pomiaru zestawiał z wynikiem otrzymanym poprzedniego dnia i matematycznie obliczył długość geograficzną miejsca, w którym się znajdowali.

Astronom nie zechciał wziąć udziału w tych działaniach porucznika. Niby wielkie dziecko, jak które zresztą się zachowywał, kiedy nie prowadził pracy naukowej, dąsał się zamknięty w swoim pokoju.

Okazało się, że wyspa znajdowała się wtedy na $157^{\circ}37'$ długości geograficznej na zachód od południka Greenwich.

Natomiast szerokość geograficzna uzyskana dzień wcześniej w południe, tuż po zaćmieniu, wynosiła, jak już wiadomo, $73^{\circ}7'20''$.

Punkt ten naniesiono na mapę w obecności Mrs Pauliny Barnett i sierżanta Longa. Tej czynności towarzyszyła chwila ogromnych obaw.

Oto zaś, jaki wynik pojawił się na mapie.

Położenie wędrowniej wyspy było tej chwili rzeczywiście dużo bardziej zachodnie, zgodnie z przewidywaniami porucznika Hobsona. Jakiś prąd niezaznaczony na jego mapie, prąd nieznany hydrografom badającym owe wybrzeża, niewątpliwie niósł ją w stronę Cieśniny Beringa. Stąd obawy, że Wyspa Wiktorii będzie narażona na wszystkie niebezpieczeństwa wskazane przez Jaspera Hobsona, jeśli przed zimą nie znajdzie się ponownie w pobliżu wybrzeża.

– Ile jednak wynosi dokładnie nasza odległość od kontynentu amerykańskiego? – zapytała podróżniczka. – Odpowiedź na to właśnie pytanie jest teraz najciekawsza.

Jasper Hobson wziął cyrkiel i starannie zmierzył najwęższą część morza, widniejącą na mapie między wybrzeżem a siedemdziesiątym trzecim równoleżnikiem.

– Znajdujemy się teraz przeszło dwieście pięćdziesiąt mil od północnego krańca Ameryki rosyjskiej, jakim jest przylądek Barrow – odparł.

– Należy chyba dowiedzieć się następnie, o ile mil wyspa zdryfowała od dawnego położenia przylądka Bathurst? – zapytał sierżant Long.

– O co najmniej siedemset mil – odpowiedział Jasper Hobson, przyjrawszy się ponownie mapie.

– Czy możemy ustalić, kiedy w przybliżeniu rozpoczęło się to dryfowanie?

– Przypuszczalnie w końcu kwietnia – odpowiedział porucznik. – Właśnie wtedy rozpadło się pole lodowe, a te lodowce, których słońce nie roztopiło, prądy zawlekły na północ. Możemy więc przyjąć, że Wyspa Wiktorii, niesiona prądem płynącym równoległe do wybrzeża, dryfuje na zachód od około trzech miesięcy, z czego wynika prędkość wynosząca średnio od dziewięciu do dziesięciu mil dziennie¹.

– Przecież nie jest to wcale prędkość znaczna – zauważyła Mrs Paulina Barnett.

– Przeciwnie, całkiem znaczna – odpowiedział Jasper Hobson – i proszę, niech pani sama oceni, dokąd może zawlec nas prąd przez dwa miesiące lata, podczas których ta część Oceanu Arktycznego pozostanie wolna od lodów!

Porucznik, Mrs Paulina Barnett i sierżant Long nie odzywali się przez kilka chwil. Nie odrywali oczu od mapy obszarów polarnych, tak uparcie broniących się przed zbadaniem ich przez ludzi i na które, jak czuli, byli wciągani bez możliwości oparcia się temu!

– Nie możemy zatem nic w tej sytuacji zrobić, nic choćby spróbować zdziałać? – zapytała podróżniczka.

– Nic, szanowna pani, nic – odpowiedział porucznik Hobson. – Możemy jedynie czekać, polegając z całych sił na owej arktycznej zimie, której jakże słusznie boją się wszyscy żeglarze, gdyż tylko ona jest w stanie nas uratować. Zima to lód, proszę pani, a lód jest jedyną naszą deską ratunku, bo nic innego nie zdoła powstrzymać w drodze tej wędrownej wyspy.



¹ Prędkość ta byłaby mniejsza, 700 mil podzielone przez 90 dni (trzy miesiące) to w zaokrągleniu 7,8 mili dziennie.

Rozdział III

Obejście wyspy dookoła

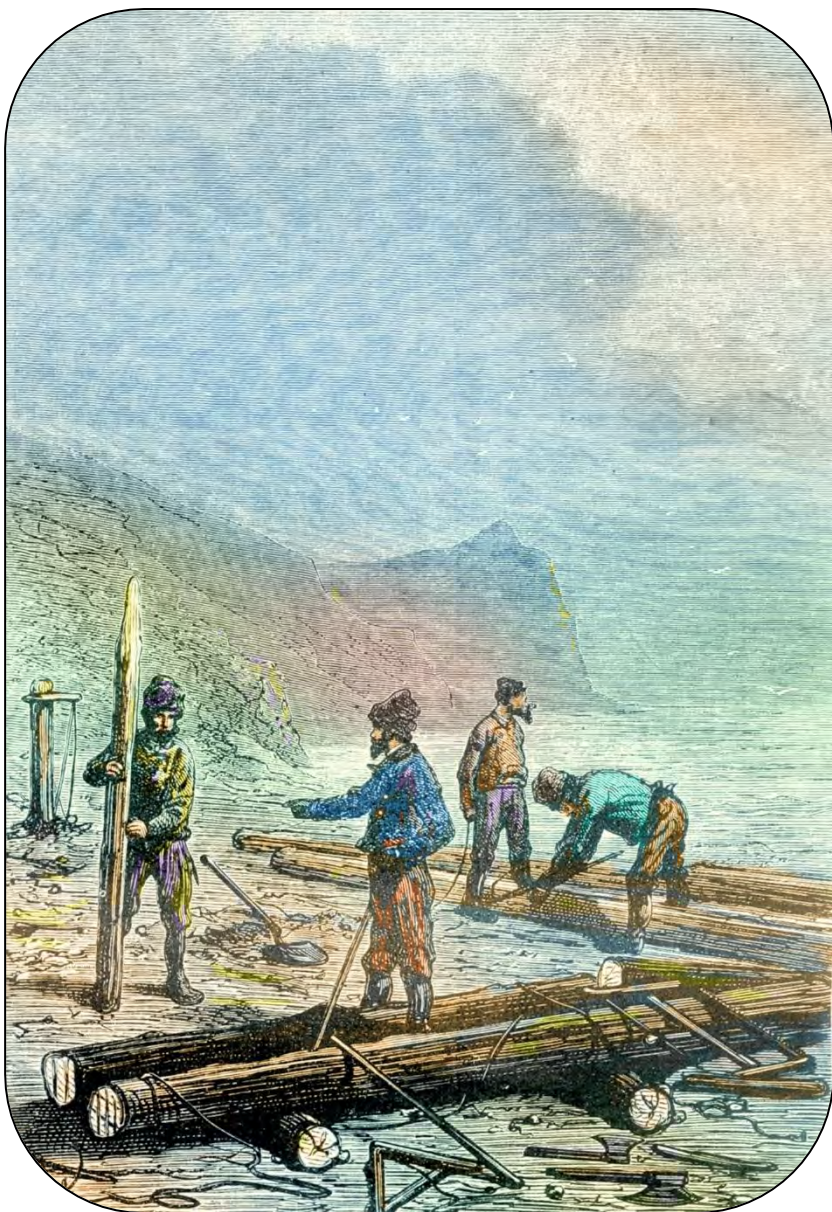
Zdecydowano, że odtąd każdego dnia, kiedy tylko pozwoli na to pogoda, sprawdzane będzie położenie Wyspy Wiktorii, tak jak czyni się to na pokładzie statku. Czyż w istocie nie była teraz uszkodzonym statkiem zdanym wyłącznie na łaskę losu, płynącym bez żagli i steru?

Następnego dnia Jasper Hobson, ustaliwszy położenie, przekonał się, że wyspa nie zmieniła swojej szerokości geograficznej, ale znalazła się kilka mil dalej na zachód. Cieśla Mac Nap otrzymał od niego rozkaz przystąpienia do budowy dużej łodzi. Jako pretekst porucznik podał chęć zbadania następnego lata wybrzeża aż do Ameryki rosyjskiej. Cieśli to wyjaśnienie wystarczyło i zajął się wybieraniem drzew na statek, który zamierzał zbudować na plaży leżącej u podnóża przylądka Bathurst, skąd będzie mógł bez trudu go zwodować.

Także tego dnia porucznik Hobson chciał wprowadzić w życie powzięty zamiar zbadania terenu, na którym został uwięziony wraz ze swoimi towarzyszami. Mogły przecież nastąpić spore zmiany w ukształtowaniu tej wyspy z lodu, podatnej na wpływy niestálych temperatur wody, dlatego ważne było rozpoznanie jej obecnego kształtu, rozmiarów, a nawet grubości w niektórych miejscach. Należało dokładnie zbadać miejsce pęknięcia, jakie najprawdopodobniej nastąpiło na przesmyku, gdyż na tym wciąż świeżym przełamaniu uda się być może dostrzec nakładające się na siebie warstwy lodu i ziemi, z których zbudowana była wyspa.

W owym jednak dniu nagle pojawiły się chmury, a po południu zerwała się mocna wichura, której towarzyszyło lekkie zamglenie. Wkrótce niebo zasnuły opary i potokami spadał z niego deszcz. Wielkie bryłki gradu waliły z trzaskiem w dach domu, a nawet dobiegło z oddali kilka grzmotów, będących zjawiskiem rzadko występującym na tak wysokich szerokościach geograficznych.

Porucznik Hobson musiał zatem przenieść na później rozpoczęcie wyprawy i zaczekać, aż uspokoją się szalejące żywioły. Pogoda nie zmieniała



Cieśla Mac Nap otrzymał od niego rozkaz
przystąpienia do budowy dużej łodzi.

się jednak w dniu dwudziestego, dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego lipca. Burza była gwałtowna, niebo mocno zasnuwane chmurami, a fale z ogłuszającym rykiem uderzały w brzeg. Płynne lawiny spadały na przylądek Bathurst z taką siłą, że istniała obawa o jego przetrwanie, bardzo teraz niepewne, gdyż to skupisko wyłącznie gleby i piasku nie spoczywało na żadnej niewzruszonej podstawie. Straszny musiał być los statków, które borykały się wtedy na morzu z owymi przerażającymi podmuchami wichury! Pływająca bez steru wyspa nie cierpiała jednak wcale wskutek wzburzenia wód, ponieważ ogromna masa uodparniała ją na wściekle ataki oceanu.

W nocy z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci lipca sztorm nagle minął. Silny wiatr z północnego wschodu przegnał skupione na horyzoncie ostatnie chmury. Barometr podniósł się o kilka kresków, wszystko wskazywało na to, że w tym stanie pogody porucznik Hobson będzie mógł odbyć swoją wyprawę.

Rekonesans ten postanowił przeprowadzić w towarzystwie Mrs Pauliny Barnett i sierżanta Longa. Ich nieobecność miała potrwać jeden lub dwa dni, co nie mogło wzbudzić zdumienia mieszkańców faktorii. Z tego względu wyruszający zabrali z sobą pewną ilość suszonego mięsa, sucharów i kilka butelek brandy, które nie obciążąły zbyt mocno plecaków zwiadowców. Dni były wówczas bardzo długie, a słońce znikало poza horyzontem tylko na kilka godzin.

Przypuszczalnie zbędne były wszelkie obawy, że natkną się na jakieś groźne zwierzęta. Wiedzione instynktem niedźwiedzie zapewne opuściły Wyspę Wiktorii, gdy jeszcze była ona półwyspem. Pomimo to Jasper Hobson, sierżant i nawet Mrs Paulina Barnett z przeżośości uzbrowili się w strzelby. Ponadto porucznik i podoficer zabrali z sobą siekiere i nóż do śniegu, z którymi podróżujący po obszarach polarnych nigdy się nie rozstają.

W czasie nieobecności porucznika Hobsona i sierżanta Longa dowódcą fortu miał zgodnie z rangą zostać kapral Joliffe, czyli jego drobna żona, na której można było polegać, o czym porucznik dobrze wiedział. Nie należało natomiast spodziewać się współpracy Thomasa Blacka, choćby chodziło jedynie o dołączenie do prowadzących rozpoznanie. Astronom obiecał jednak, że podczas nieobecności porucznika będzie starannie obserwował północny horyzont i zapisze wszelkie zmiany, do jakich być może dojdzie czy to na morzu, czy w położeniu wyspy.

Mrs Paulina Barnett próbowała odwoływać się do rozumu nieszczęsnego uczonego, ale on nie chciał o niczym słyszeć. Uważał, i miał po temu podstawy, że został oszukany przez przyrodę, której takiego oszustwa nigdy nie wybaczy.

Podróżniczka i dwaj jej towarzysze pożegnali się kilkoma mocnymi uściskami ręki, a potem opuścili budynek fortu, minęli jego bramę i ruszyli na zachód, idąc wzdłuż rozciągniętego łuku linii brzegowej, sięgającego od przylądka Bathurst do Przylądka Eskimosa.

Była ósma rano. Padające ukośnie promienie słońca zalewały wybrzeże płowym światłem, co je ożywiało. Powoli zamierały ostatnie wzburzone fale. Rozpędzone przez sztorm ptaki: pardwy, nurzyki, nawałniki i petrele, powracały całymi tysiącami. Stada kaczek zdążyły pośpiesznie na brzegi jeziora Barnett, nie wiedząc, że trafią stamtąd do garnka Mrs Jolliffe. Kilka zajęcy polamych, kun, piżmaków i gronostajów uciekało przed idącymi, ale nie śpieszyły się nadmiernie. Instynkt wyraźnie skłaniał zwierzęta do szukania towarzystwa człowieka, ponieważ wyczuwały grożące wszystkim wspólne niebezpieczeństwo.

– Wiedzą, że są otoczone przez morze – powiedział Jasper Hobson – i że nie mogą teraz opuścić wyspy!

– Czy te zajęce i inne gryzonie – zapytała Mrs Paulina Barnett – nie mają zwyczaju przenosić się przed zimą na południe, aby szukać tam łagodniejszego klimatu?

– Mają, proszę pani – odparł Jasper Hobson – ale tym razem, jeśli nie zdołają uciec po polach lodowych, pozostaną uwięzione tak samo jak my i można się obawiać, że w zimie zginą w większości z zimna lub głodu.

– Wolę uznać – powiedział sierżant Long – że te zwierzęta będą łaskawe oddać nam przysługę, stając się jedzeniem, a kolonia ma wielkie szczęście, że instynkt nie nakazał im ucieczki, zanim doszło do przerwania przesmyku.

– Za to ptaki na pewno nas opuszczą? – wysunęła domysł Mrs Paulina Barnett.

– Tak, szanowna pani – potwierdził Jasper Hobson. – Wszyscy przedstawiciele gatunków latających uciekną wraz z pierwszymi mrozami. Są w stanie pokonywać bez zmęczenia wielkie odległości i mają od nas więcej szczęścia, bo zdołają powrócić na stały ląd.

– Właśnie, czy nie możemy uczynić z nich naszych posłańców? – zapytała podróżniczkę.

– Dobra myśl, szanowna pani, a nawet doskonała – powiedział porucznik Hobson. – Bez większego trudu zdołamy złapać kilkaset ptaków i przywiązać im do szyi skrawki papieru, na których napiszemy o naszym położeniu. W 1848 roku John Ross¹ uciekł się do tego sposobu, aby powiadomić ocalałych z wyprawy Franklina o obecności na morzach polarnych swoich statków „Enterprise”² i „Investigatora”³. Schwytał w pułapki kilkaset białych lisów, przyczepił im do szyi miedziane obroże z wygrawerowanymi koniecznymi wiadomościami, a potem wypuścił, aby rozeszły się we wszystkich kierunkach.

– Czy jest możliwe, że któryś z tych posłańców wpadł w ręce rozbitków? – zapytała Mrs Paulina Barnett.

– Możliwe – odpowiedział Jasper Hobson. – W każdym razie pamiętam, że jednego z tych lisów, starego już, złapał podczas swojej podróży odkrywczej kapitan Hatteras⁴. Ów lis nadal nosił na szyi na wpół przetartą obrożę, ukrytą w jego białym futrze. My zaś to, czego nie możemy zrobić z czworonogami, uczynimy z ptakami!

Podczas gdy tak rozmawiali i snuli plany na przyszłość, dwaj zwiadowcy i ich towarzyszka posuwali się wzdłuż brzegu wyspy. Nie zauważali w nim żadnych zmian. Wybrzeże pozostało takie samo, bardzo poszarpane, pokryte ziemią i piaskiem, ale nie było widać żadnych jego nowych pęknięć, które wskazywałyby na niedawne przekształcenia obwodu wyspy. Należało się wszakże obawiać, że ten ogromny lodowiec, porwany przez cieplejsze prądy, będzie nadgryzany u podstawy i zacznie zmniejszać swoją grubość. Jasper Hobson bardzo słusznie z dużą troską rozważał tę hipotezę.

¹ *John Ross* – pomyłka J. Verne’a, wyprawą w roku 1848, w której brały udział wspomniane niżej statki, dowodził James Clark Ross, bratanek Johna.

² *Enterprise* – bark o nośności 471 ton, zwodowany w roku 1846, brak udziału w wyprawach arktycznych Jamesa Rossa (1848-1849) i Richarda Collisona (1850-1854), potem statek handlowy do roku 1903.

³ *Investigator* – bark o nośności 480 ton, statek handlowy, brak udziału w wyprawie arktycznej Jamesa Rossa (1848-1849), uwięziony w lodach przy Wyspie Banksa w roku 1849, porzucony w 1853, odnaleziony w 2010.

⁴ *Hatteras* – tytułowy bohater dwutomowej powieści Jules’a Verne’a *Przemyślnik kapitana Hatterasa*, napisanej w latach 1863-1864, wydanej przez wydawnictwo JAMAKASZ w roku 2017, odkrywca polarny chcący dotrzeć do bieguna północnego; epizod ze znalezieniem lisa z obrożą znajduje się w rozdziale XXV tomu pierwszego, *Anglicy na biegunie północnym*; Hobson nie mógł o nim wiedzieć, gdyż w tej powieści zdarzył się w roku 1860.

Do jedenastej rano odkrywcy pokonali osiem mil dzielących przylądek Bathurst od Przylądka Eskimosa. Znaleźli tam resztki obozowiska, w którym zatrzymała się rodzina Kalumah. Oczywiście nie zachowały się żadne ślady po śnieżnych domach, ale zimne popioły i kości fok wciąż świadczyły o pobycie Eskimosów.

Mrs Paulina Barnett, Jasper Hobson i sierżant Long urządzili tam krótki tylko postój, gdyż nieliczne godziny nocy zamierzali spędzić w Zatoce Morsów, do której mieli dotrzeć za kilka godzin. Usiedli na niewielkim wzniesieniu porośniętym rzadką i nędzną trawą, gdzie zjedli śniadanie. Przed oczami mieli piękny morski horyzont, widoczny bardzo wyraźnie. Niezmiernego, pustego przestworu wód nie zakłócał ani jeden żagiel, ani jedna góra lodowa.

– Czy mocno by się pan zdziwił, poruczniku – zapytała Mrs Barnett – gdyby w tej chwili przed naszym wzrokiem pojawił się jakiś statek?

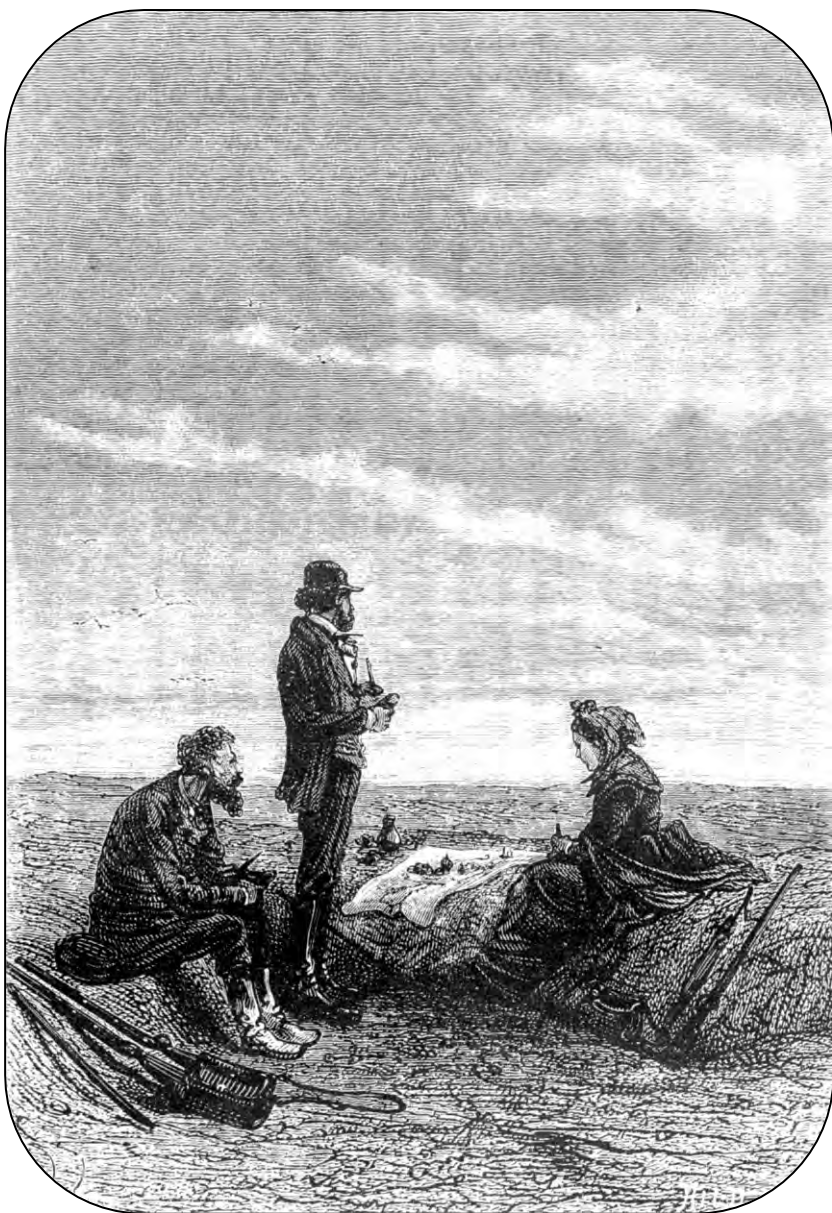
– Mocno to nie, szanowna pani – odpowiedział porucznik Hobson – ale przyznam, że miło. W ciepłej porze roku zdarza się wcale nie tak rzadko, że statki wielorybnicze z Morza Beringa dopływają aż do tej szerokości geograficznej, zwłaszcza odkąd Ocean Arktyczny stał się stawem hodowlanym kaszalotów i wielorybów. Mamy już jednak dwudziesty trzeci lipca i lato niedługo się skończy. Cała flota łowiecka na pewno znajduje się teraz w Zatoce Kotzebuego¹, u wejścia do cieśniny. Wielorybnicy wolą unikać, i mają po temu podstawy, niemiłych niespodzianek Morza Arktycznego. Obawiają się lodów i starają się, żeby ich nie uwięziły. Ich wielki strach budzą właśnie te góry lodowe, te *ice streams*², te ławice, czyli te lody, których my tak żarliwie oczekujemy!

– Przybędą, panie poruczniku – zapewnił sierżant Long. – Miejmy cierpliwość, a zanim miną dwa miesiące, fale otwartego morza przestaną uderzać w Przylądek Eskimosa.

– Przylądek Eskimosa! – rzuciła z uśmiechem Mrs Paulina Barnett. – Przecież ta nazwa, to miano, podobnie jak wszystkie nadane przez nas zatoczkom i cyplom półwyspu, mogą być odrobinę niepewne! Straciliśmy

¹ *Zatoka Kotzebuego* – zatoka w północno-zachodniej Alasce, pomiędzy półwyspami Baldwina i Sewarda, we wschodniej części Cieśniny Beringa; ma 160 km długości i 110 km szerokości.

² *Ice streams* (ang.) – u J. Verne’a: icestreams; strumienie lodowe, potoki lodu szybko płynącego po lądolodzie.



Usiedli na niewielkim wzniesieniu porośniętym
rzadką i nędzną trawą, gdzie zjedli śniadanie.

[Kup książkę](#)

już przystań Barnett i Rzekę Pauliny, a kto wie, czy z kolei nie znikną także Przylądek Eskimosa i Zatoka Morsów?

– Znikną także, szanowna pani – przyznał Jasper Hobson – a po nich cała Wyspa Wiktorii, ponieważ nic już nie łączy jej z lądem i jest nieodwołalnie skazana na zagładę! Nie może uniknąć takiego losu, a my niepotrzebnie włożyliśmy wiele wysiłku w tworzenie nomenklatury geograficznej! Przynajmniej jednak naszych nazw nie zatwierdziło jeszcze Towarzystwo Królewskie i szanowny Roderick Murchison¹ nie będzie musiał wymazywać ze swoich map żadnej z nich.

– Będzie musiał jedną! – powiedział sierżant.

– Jaką? – zapytał Jasper Hobson.

– Przylądek Bathurst – odparł sierżant.

– Rzeczywiście, macie rację, przylądek Bathurst należy obecnie wykreślić z map krain polarnych!

Dwie godziny wypoczynku wystarczyło zwiadowcom. O pierwszej po południu byli już gotowi do odbycia następnej części wyprawy.

Tuż przed wyruszeniem w drogę Jasper Hobson po raz ostatni spojrzał z wierzchołka Przylądka Eskimosa na okoliczne morze. Kiedy nie dostrzegł na nim niczego, co zwróciłoby jego uwagę, zszedł ze szczytu i dołączył do Mrs Pauliny Barnett, która czekała na niego obok sierżanta.

– Szanowna pani nie zapomniała zapewne o rodzinie tubylców, którą jakiś czas przed końcem zimy napotkaliśmy tutaj? – zapytał.

– Nie zapomniałam, panie poruczniku – odpowiedziała podróżniczka. – Doskonale pamiętam miłą, drobną Kalumah. Obiecała nawet, że przybędzie odwiedzić nas raz jeszcze w Forcie Nadzieja, lecz teraz nie zdoła dotrzymać złożonej obietnicy. Jaki jest jednak powód pańskiego pytania?

– Taki, szanowna pani, że przypomniałem sobie o jednej rzeczy, która wtedy wydała mi się mało ważna, a teraz zaprzęta moje myśli.

– O jakiej?

– Czy pamięta pani zdziwienie i zaniepokojenie Eskimosów, kiedy zobaczyli, że postawiliśmy faktorię u podnóża przylądka Bathurst?

¹ Był wtedy prezesem Towarzystwa [przypis autora]; Roderick Murchison (1792-1871), szkocki geolog, prezesem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego był w latach 1843-1845, 1851-1853. 1856-1859 i 1862-1871, w latach, gdy rozgrywa się akcja powieści, prezesem był George Robinson.

– Pamiętam doskonale, panie poruczniku.
– Nie zapomniała pani zapewne również, jak usilnie starałem się zrozumieć powód tego zachowania tubylców, ale nie udało mi się tego osiągnąć.

– Owszem.

– No cóż – powiedział porucznik Hobson – pojmuję teraz, co wyrażali, kręcąc głowami. Ci Eskimosi wiedzieli, z tradycji, z doświadczenia, czy też z jakiegoś innego powodu, jaki jest charakter i pochodzenie Półwyspu Wiktorii. Wiedzieli, że nie wzniesliśmy fortu na mocnym gruncie. Skoro jednak od stuleci nic się nie zmieniało, to na pewno nie podejrzewali rychłego nadejścia niebezpieczeństwa, i z tego właśnie powodu nie wyrazili swoich obaw wprost.

– Musiało tak być, panie poruczniku – przyznała mu rację Mrs Paulina Barnett. – Ale Kalumah z całą pewnością nie posiadała wiedzy swoich towarzyszy, bo inaczej to biedne dziecko bez wahania podzieliłoby się nią z nami.

W tej sprawie porucznik Hobson zgadzał się z Mrs Pauliną Barnett.

– Trzeba przyznać – powiedział wtedy sierżant – że los sprzysiągł się przeciwko nam, skoro przybyliśmy zamieszkać na tym półwyspie tuż przedtem, gdy miał się odłączyć od lądu i błąkać po morzu! Przecież, panie poruczniku, jego stan trwał niezmiennie bardzo, ale to bardzo długi czas! Być może przez wieki!

– Możecie śmiało powiedzieć, sierżancie Long, że przez tysiąclecia – odrzekł Jasper Hobson. – Pomyślcie tylko, że żyzną glebę, po której teraz stąpamy, przyniósł tutaj wiatr, cząsteczka po cząsteczce, a ten piasek ziarnko po ziarnku! Pomyślcie tylko, ile czasu musiało upłynąć, aby nasiona jodeł, brzoź i madrone rozmnożyły się i aby wyrosły z nich krzewy i drzewa! Być może ten podtrzymujący nas lodowiec powstał i zespolił się z kontynentem wcześniej nawet, niż pojawił się na ziemi człowiek!

– No cóż – zawołał sierżant Long – ten niestały lodowiec mógł jeszcze kilka wieków zaczekać, zanim miał zacząć dryfować! Zaoszczędziło by nam to wielu obaw, i być może wielu niebezpieczeństw!

Owa wielce trafna uwaga sierżanta Longa zakończyła rozmowę i prowadzący ją ruszyli w dalszą drogę.

Od Przylądka Eskimosa do Zatoki Morsów linia brzegowa biegła niemal dokładnie z północy na południe, wzdłuż sto dwudziestego siódmego

południka¹. Za nią, w odległości czterech lub pięciu mil, widoczny był zwężający się skraj laguny, która migotała w promieniach słońca, a nieco dalej ostatnie zalesione zbocza, okalające swą zielenią wody. Powietrze przecinało swym lotem kilka mocno bijących skrzydłami orłów gwizdających². Idącym przyglądały się liczne zwierzęta futerkowe, jak kuny, norki i gronostaje, które chowały się za niskimi piaszczystymi wzniesieniami lub ukrywały pomiędzy rzadkimi krzewami madrone i wierzbami. Zdały się wiedzieć, że nie grożą im żadne strzały z broni palnej. Jasper Hobson zobaczył także kilka bobrów, które błąkały się bez celu i na pewno nie mogły znaleźć sobie miejsca, odkąd zniknęła rzeczka. Nie mając już żeremi, w których mogłyby się schronić, nie znajdując strumieni, na których mogłyby zbudować swoją osadę, nie zdołają uniknąć śmierci z zimna, kiedy tylko dadzą się odczuć mrozy. Sierżant Long dojrzał również biegnącą po równinie watahę wilków.

Należało wyciągnąć stąd wniosek, że wszystkie zwierzęta należące do menażerii polarnej stały się więźniami pływającej wyspy, a drapieżniki, którym zima przyniesie głód, bo tracą możliwość szukania pożywienia w stronach o łagodniejszym klimacie, będą niewątpliwie ogromnie groźne dla mieszkańców Fortu Nadzieja.

Wszystko wskazywało na to, że w faunie wyspy brakowało tylko niedźwiedzi polarnych, czego trudno było żałować. Sierżant odniósł wszakże wrażenie, że za kępą brzoź dojrzał poruszającą się powoli jakąś białą, ogromną masę. Przyjrawszy się jednak uważniej, uznał, że się pomylił.

Odcinek wybrzeża biegnący do Zatoki Morsów przeważnie dość mało wznosił się nad poziom morza. Miejscami nie przekraczał nawet wysokości powierzchni wodą, a ostatnie spienione wypustki fali biegły po nim, jak gdyby docierały na plażę. Widok ten budził obawy, że w tej części wyspy do obniżenia się gruntu doszło niewiele wcześniej, ale brakowało tu jakiegokolwiek punktów odniesienia, a to uniemożliwiało ustalenie, co dokładnie się zmieniło, i określenie, w jakim zakresie. Jasper Hobson żałował, że przed wyruszeniem nie rozmięcił w okolicach przylądka Ba-

¹ Jest to dawne położenie przylądka Bathurst, zanim oderwał się od lądu, w czasie opisanego tutaj zwiadu znajdował się około 30 stopni dalej na zachód.

² *Orły gwizdzące* – w oryginale *aigles-siffleurs*, jedna z francuskich nazw kani złotawej (*Haliastur sphenurus*), dużego ptaka drapieżnego, ale występuje on jedynie w Australii i na Nowej Gwincei.



Idącym przyglądały się liczne zwierzęta futerkowe,
jak kuny, norki i gronostaje.

thurst reperów, dzięki którym byłby w stanie rozpoznać miejsca obniżenia się i osiadania linii brzegowej. Obiecał sobie, że po powrocie zajmie się tymi sposobami pomiaru.

Badania terenu nie pozwalały porucznikowi, sierżantowi i podróżnicze posuwać się w szybkim tempie. Robili częste postoje, przyglądali się glebie i wypatrywali, czy na wybrzeżu nie nastąpiło jakieś zagrażające wyspie pęknięcie, a niekiedy zapuszczali się aż na pół mili w głąb terenu. W pewnych miejscach sierżant dla ostrożności zatykał gałęzie wierzby lub brzozy, które w przyszłości miały pełnić funkcję wskaźników, zwłaszcza tam, gdzie grunt zapadł się najbardziej, a zatem sprawiał wrażenie najmniej solidnego. Później ułatwi to rozpoznawanie tych zmian, do których być może dojdzie.

Pomimo to cała trójka posuwała się naprzód i około trzeciej po południu znalazła się tylko trzy mile na północ od Zatoki Morsów. Jasper Hobson mógł już wskazać Mrs Paulinie Barnett, jakie skutki wywołało przerwanie przesmyku, a były one rzeczywiście bardzo poważne.

Wcześniej południowo-zachodni horyzont przesłaniała bardzo długa, lekko wygięta linia brzegowa, tworząca zarys rozległej zatoki Liverpool¹. Teraz do tego horyzontu rozciągała się wyłącznie woda. Kontynent przepadł. Wyspę Wiktorii kończył tam ostry występ, widniejący dokładnie w miejscu, gdzie musiało dojść do pęknięcia. Wszystko wskazywało na to, że kiedy miną ten występ, ich oczom pokaże się ogromne morze, oblewające południową część wyspy na całej lądowej ongiś linii, biegnącej od Zatoki Morsów do zatoki Washburn.

Mrs Paulina Barnett odczuwała pewne wzruszenie, przyglądając się temu nowemu widokowi. Spodziewała się go, lecz mimo to serce biło jej szybciej. Wypatrywała brakującego na horyzoncie kontynentu, owego kontynentu, który teraz pozostał za nimi w tyle w odległości przeszło dwustu mil, i nabrała pewności, że nie chodzi już po amerykańskiej ziemi. Wszyscy ludzie o czulej duszy bez trudu zrozumieją podróżniczkę, i należy dodać, że Jasper Hobson, a nawet sierżant podzielali jej emocje.

Wszyscy troje przyspieszyli, aby dotrzeć do ostrego występu, ciągle jeszcze zamykającego widok na południe. Teren wznosił się trochę w tej

¹ *Liverpool* – zatoka w północno-wschodniej części Morza Beauforta, na zachód od półwyspu Bathurst, estuarium rzeki Anderson; wcina się na ok. 120 km w wybrzeże północno-zachodniej Kanady.

części wybrzeża. Warstwa ziemi i piasku była tam grubsza, co wynikało z sąsiedztwa z tą częścią prawdziwego kontynentu, która ongiś graniczyła z wyspą i tworzyła z nią jedną krainę. Grubość lodowej skorupy i warstwy ziemi na tym złączu, najpewniej wzrastająca wraz z upływem stuleci, wyjaśniała przyczyny niewzruszonego trwania przesmyku, dopóki zjawisko geologiczne nie wywołało jego przerwania. Trzęsienie ziemi z ósmego stycznia doświadczyło jedynie kontynent amerykański, ale było na tyle silne, aby odłamać półwysep, podległy teraz wszelkim kaprysom oceanu.

Wreszcie, o czwartej po południu, osiągnęli występ. Zatoka Morsów, będąca wcięciem stałego lądu, zniknęła. Połączona z kontynentem pozostała w tyle.

– Daję słowo, proszę pani – z powagą zapewnił podróżniczkę sierżant Long – ma pani szczęście, że nie nazwaliśmy jej Zatoką Pauliny Barnett!

– To prawda – odpowiedziała Mrs Barnett – i zaczynam sądzić, że przy nadawaniu nazw geograficznych okazują się pechową matką chrestną!



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!